

Konwencja stambulska i nieodrobiona lekcja komunizmu

Paweł Milcarek

Im dłużej obserwuję debatę dotyczącą tzw. konwencji stambulskiej, tym jaśniejsze jest dla mnie to, że głosy za i przeciw nie tylko brzmią, ale i rozkładają się procentowo inaczej według trzech poziomów lektury.

Poziom pierwszy to nie tyle lektura tekstu, ile wchłanianie opinii o tekście – czyli reakcja na to, co o konwencji mówi się i pisze. Tu procenty za i przeciw zapewne rozkładają się tak, że najwięcej jest opinii swoiście obojętnych, ludzi wzruszających ramionami w niejasnej akceptacji przechodzącej w negację, jak to z płynnymi emocjami bywa. Ale sądzę, że jeśli chodzi o głosy zdecydowane, krytycy są w natarciu, nie w defensywie: ostrzeżenia brzmią tonami tak zaczepnymi jak hasło o „tęczowej zarazie”.

Poziom drugi to już odniesienie bardziej lekturalne, w stylu: wczoraj wzięłem i przeczytałem – i powiem wam, co tam widzę. Grupa czytelników konwencji też ma zróżnicowane oceny, lecz sądzę, że tu z kolei w natarciu, nie w defensywie, jest głos uspokajający: po co to całe zamieszanie, przecież w tekście znajdujemy same słuszne rzeczy, a w każdym razie nie ma w nim nic groźnego. O ile więc hasło o „tęczowej zarazie” wybucha głośno, szermierka inteligentnych czytelników konwencji brzmi efektownie, czasami z charakterystycznym tonem przekonania, że odrzucić konwencję mogą chyba tylko ci, którzy jej nie czytali – no, chyba że są to po prostu wyznawcy przemocy nieczuli na jej tragedię, ludzie tak źli, że szkoda mówić.

Jednak jest też trzeci poziom czy odmiana lektury – powiedziałbym, że taki, który próbuje integrować to, co jest w nagim tekście, z tym, co tworzy dla tekstu nieunikniony kontekst. Wiadomo bowiem, że tekst prawny to, po pierwsze, nie lektura do poduszki dla poczciwego inteligenta; i, po drugie, nie tekst żyjący poza

intencjami tych, którzy go redagują, przyjmują, propagują. Dlatego niedawno pozwoliłem sobie przypomnieć, jakimi intencjami okrasza swoje żądanie praktykowania konwencji stambulskiej Parlament Europejski, który w swej rezolucji precyzuje, że przemocą wobec kobiet (z którą walczy konwencja) jest m.in. „restrykcyjne prawo aborcyjne” itp. Naprawdę nie sposób czytać dziś konwencję bez tego kontekstu – być może więc poczciwi czytelnicy konwencji odgrywają dziś pogodnie rolę pożytecznych idiotów?

Oczywiście i na trzecim poziomie lektury konwencji zdania są zróżnicowane – ale ryzykując pewne założenie, podobnie jak wyżej, powiedziałbym, że tu liczbowo zdania przeciwne są wyjątkowo wyrównane. Sądzę, że dlatego, iż integralne rozumienie treści konwencji jest zwykle udziałem tych, którzy faktycznie przemyśleli wrodzony takim dokumentom charakter instrumentalny: jest dla nich jasne, że połowa sensu konwencji jest w jej tekście – ale druga połowa w tej praktyce, której kierunek zdradzają wypowiedziane oficjalnie intencje oraz mocny akcent kładziony na to, że wdrażanie konwencji przez państwa wymaga od nich słuchania się sugestii europejskiej „grupy ekspertów”. Płynna rzeczywistość.

Zapewne gdy uwzględni się to, iż pełna prawda o konwencji odsłoni się dopiero na jej etapie praktycznych zastosowań, jest się już albo świadomym entuzjastą wymarzonych agend reformy, albo krytykiem tych potencjałów, roztropnym w ich zablokowaniu, zanim zostaną uruchomione jak maszyna-moloch. Należę do tych ostatnich i dlatego jestem zdecydowanym zwolennikiem odrzucenia konwencji stambulskiej.

Cała kwestia przypomina mi, jako m.in. historykowi z wykształcenia, problem komunizmu. Po odcelebrowaniu półgębkiem pamięci zbrodni komunizmu pozostało wrażenie, że był to zawsze ustrój lucyferycznie morderczy. Aż trudno sobie wyobrazić, jak ktoś mógł go szczerym sercem opiewać i apologetyzować. Powiedzmy sobie stylem poczciwego inteligenta z naszego drugiego poziomu lektur: jak ktoś mógł traktować komunizm entuzjastycznie – no chyba nie przeczytał! Także i tu nasz poczciwina mylił się i myli, gdyż w swoich początkach komunizm wyglądał jak, za przeproszeniem, konwencja stambulska: pełen przede wszystkim słusznych wymagań sprawiedliwości, wrażliwy aliant ludzi miażdżonych przez kapitalizm. Gdzieś tam jak armaty w kwiatach brzmiały

niepokojące zapowiedzi i jakiś enigmatyczny język tworzenia nowego człowieka. Także i to ostatnie dawało się wytłumaczyć, bo przecież nie da się zrobić jajecznicy bez rozbijania jajek. Brutalna natura kapitalizmu była faktem, jej zbrodnie wielu rozumiało tak dobrze, jak dziś rozumie się rzeczywiste struktury „piekła kobiet”. To tłumaczyło wszystko, niemal wszystko. Nawet zbrodnie ukraińskiego głodu nie muszą bowiem wyglądać gorzej niż zbrodnie szacownych zachodnich państw w koloniach, o ile się o nich wie, a np. Zairczyków nie ma się za póludzi. Wiadomo: wielkie budowy wymagają swoich ofiar – wielkie budowy kapitalizmu i wielkie budowy komunizmu... Był i czas, gdy komunizm miał – w odbiorze wielu – wdzięku i moralnej siły pewnie i tyle, ile miał ich i nasz Poznań w czerwcu 1956 roku, i stocznia Lenina w sierpniu ‘80. Kto wie, czyby tego wizerunku nie zachował – jak Komuna Paryska – gdyby nie jednak ambicja wybudowania w Rosji nowoczesnego państwa, dalekiego od romantyczno-pozytywistycznej poezji... Państwa wyzyskującego niemal wszystkie moce absolutyzmu i terroru. A co, gdyby wówczas komunizm nie musiał i nie chciał brać się tak szybko do zniechęcania wszystkich czystkami i paranoją czerezwyczałki?

Jednak komunizm – jak słusznie rzekł Pius XI – zawsze był ideologią „wewnętrznie przewrotną”, od początku był zepsutą antropologią, która zdobywała punkty przez dotknięcie z odwagą rzezimieszka również prawdziwych problemów społecznych, którymi inni albo się brzydzą, albo byli wobec nich bezsilni. „Macie wy odwagę Lenina?” Odwaga mocno imponowała.

Lata temu w polemice z Kingą Dunin Ludwik Dorn napisał, że kiedyś to pogardzane „miśki” wyczuły szybciej, czym naprawdę jest komunizm, podczas gdy szanowne elity na podstawie widokówek z Sowieców długo kultywowały bezrozum, właściwy umysłom oderwanym. Myślę, że tak jest dzisiaj. „Miśki”, którymi się znów pogardza, na ogół wiedzą coś, czego nie wiedzą ludzie z elit: wiedzą, jaki jest realny związek obiektów takich jak konwencja stambulska z ideologią gender, z demoralizacją „zajęć z seksu” w szkole, z aborcją, z wciskaniem nam wszędzie uszkodzonej tęczy LGBT itp. Wiedzą to lub przeczuwają bez niezbędnej subtelności – sądzę nawet, że jest i dziś wśród „miśków” za dużo znieczulicy, rehotu, teorii spiskowych, głupoty, „szurostwa”. Owszem, daw-

niej „miśki” antykomunizmu nie potrafiły zrozumieć, że nie da się walczyć z komunizmem, pozostając niewrażliwym na sprawiedliwość społeczną – tak jak dzisiaj pewnie zdarza się „miśkom” wylewać konwencję stambulską z całą kąpielą wrażliwości na przemoc. Są to rzeczy do niezbędnej korekty, bo wstrętne byłoby lekceważenie problemów dlatego, że ktoś próbuje je rozwiązywać razem z rozmontowywaniem porządku moralnego. A jednak i tamte, i te „miśki” jedno wiedzą dobrze: gdzie zaczyna się ideologiczna zaraza. To wystarczy na ten moment decyzji politycznej. Dlatego: *Je suis misiek.* ■